

Czarny Polak na ojczystej palmie

2 lutego 2014

Na dworcu PKS w Opolu awaria w toalecie. Przed drzwiami gromadzi się coraz większy, poddenerwowany tłumek. Mężczyźni i kobiety, średnia wieku – około 30. Spieszą się i niepokoją, bo wkrótce odjadą „Sindbady” na Zachód. Opole jest znacznie lepiej skomunikowane z Berlinem niż z Warszawą. Tam stolica, gdzie kapitał – trudno oprzeć się smutnej myśli. Ponad dwadzieścia lat realnego liberalizmu, w tym chwalebnych reform społeczno-gospodarczych w wykonaniu prawicy, więcej zrobiło dla osłabienia więzi Opolszczyzny z Polską niż działania śląskich separatystów.

Polacy zmykają z kraju. Pustoszeją nie tylko miejscowości na ścianie wschodniej. Znajomy na Facebooku często opowiada o losie Sanoka, zdekapitalizowanego miasta, z którego przyszłość, biznes i pieniądze uciekają wraz z ludźmi. Kolejne bomby wybuchają pustką i tykają gdzie indziej. Jak informowały niedawno media, w świętokrzyskim w 2013 r. odnotowano najwyższy przyrost bezrobocia w stosunku do innych województw oraz najmniejszy wzrost wynagrodzenia w sektorze przedsiębiorstw. Już dziś w co piątej z rodzin jeden z jej członków pracuje poza tym regionem lub krajem. A wojewódzkim instytucjom kultury obniżono dotacje o 12,5 proc. Żle się dzieje w antypaństwie...

Tyle jest w III Rzeczypospolitej miejsc, które coraz bardziej przypominają za duże ubranie na wychudłym człowieku. I te krajobrazy współczesnych miasteczek, zbyt dalekich od metropolii, by masowo instalowali się tam nowobogaccy. Na obrzeżach miast i wsi kilka, kilkanaście, może kilkadziesiąt nowych domów, ale w większości stare budynki, liszajowate kamienice. Mieszkają w nich ludzie, których przedsiębiorca zamyka w hali na kłódkę, gdy zjawia się inspekcja pracy. Ale

przed Bożym Narodzeniem nie zapomina o pracowniczej Wigilii. Popłuczyny po katolicyzmie, po etyce pracy, po przyzwoitości – folwarki na miarę III RP.

Pewien przedsiębiorca, żyjący ze środków PFRON, ma zaprzyjaźnionego lekarza, który orzeka o niepełnosprawności. A jeszcze ktoś inny oferuje fachową pomoc w wyciszeniu sprawy, gdy pracownik zemdleje w robocie, bo jest faktycznie niepełnosprawny, a pracował już czternastą godzinę i nieco się wyeksploatował. Jednak o tym wszystkim jest cicho, jak najciszej, choć to jest właśnie ta Polska wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych, apatii, obaw i bezkarności lokalnych sobiepanków, knebla na ustach w czasach formalnej wolności słowa.

I te ruiny jak rany: po zakładach pracy, po przemyśle, po życiu. Jest początek ciepłej zimy, kępy trawy stroszą się wśród opustoszałych murów, cień chmur wędruje przez puste miejsca, gdzie jeszcze tu i ówdzie nie zatarły się do końca wyblakłe litery ostrzegające klasę robotniczą przed nieuważną pracą i zachęcające do wzmożonego wysiłku. Deszczowa kałuża odbija bladoniebieski skrawek kosmosu, nikt w nią nie wdepnie, nikogo tu nie ma i długo jeszcze nie będzie, choć zardzewiał i zgnił drut siatki strzegący tego miejsca przed nieupoważnionymi. Ale cieniom chmur i obojętności nieba towarzyszą jedynie ludzkie cienie: miejsca jak blizny po przeszłości. Nawet złomiarze już się tutaj nie zapuszczają. A 30-latkowie siedzą w autokarze firmy „Sindbad” i nie patrzą na widoki za oknem. Śpią, bo trzeba przespać, minąć Polskę, żeby obudzić się już w lepszym świecie.

Nocą miasteczko biorą w posiadanie młodzi chłopcy i młode dziewczyny. Piąteczek! Sobota! Dyskoteka nie jest tak daleko od kościoła, więc uważaj, rodzicu, jak idziesz chodnikiem w niedzielny poranek, bo łatwo wdepnąć w prezerwatywę. Może to twoje dzieci się tu bawiły. Ale teraz, w nocy, gdy śpisz, krzyczą w euforii, uczą się hedonizmu, bez którego nie ma współczesnego rynku. Prawdziwa rewolucja obyczajowa, przeciw

której biskupi nie napiszą listu, bo nazbyt jest dla nich niezwykła i niezrozumiała. Nowa, nastoletnia klasa próżniacza, uprzywilejowana w swojej młodości i licznych pragnieniach wykreowanych w tyglu wielkiego kapitału, pragnieniach, za które płacą rodzice, żeby dzieci miały lepiej niż oni kiedyś (i teraz), żeby dzieci pokazywały światu i sąsiadom, że właśnie ich stać. Dziecko – sztandar statusu domowego.

Więc leje się wódka, ćmią się ćmiki, zużywają się mocniejsze używki, ktoś rzyga na markowe buty, „w samochodzie przy chodniku zapłacono już dziewczynie”. Piątek! Sobota! Piękni, jeszcze nie dwudziestoletni, prawdziwi roszczeniowcy III RP, bawią się młodzieżową konsumpcją. Lecz to potrwa jeszcze tylko chwilę, za moment przyjdzie do nich gorycz wysokiego bezrobocia, pustka miasteczka, zdumienie, że nie stać ich na to, co w życiu naprawdę ważne. Zazdrość, że jedna z drugą koleżanka ma lepiej, że kolega ma naprawdę ustawionego dziadziusia, który niegdyś utrwał nadwiślański socjalizm, a później budował lokalny kapitalizm, że kolega z ławki pracuje, bo matka ma etat w urzędzie, że koleżanka pracuje, bo ciotka jest menedżerem w sieci handlowej i trochę zrestrukturyzowała zasób ludzki, żeby zmieścić chrześniaczkę. I kolejne autokary odjadą na Zachód, pełne tych, którym tutaj nie wystarczyło znajomości.

W moich rodzinnych stronach lokalny bogacz przyozdobił bramę symbolem „\$”. On już wie, stać go na szczerość ze światem: tylko pod tym jarzmem, tylko pod tym znakiem Polska będzie Polską, a Polak Polakiem. Ale nie każdy chce nazywać rzeczy po imieniu. Bo III RP jest jak któryś z południowych stanów USA, gdzie wojny kulturowe decydują o wszystkim, są jak opium mas, wyciszające wszelkie konflikty klasowe. Całe łajdactwo, niesprawiedliwość i krzywda znikają za zasłoną dymną kulturowych wojenek. Gdy instytucje państwa służą jego demontażowi, a społeczeństwo staje się coraz bardziej aspołeczne, rządzi pieniądź, posługujący się nadrzeczywistością jako narzędziem kamuflażu prawdziwego

świata i reguł gry, które nim zarządzają. Aby kolejne autokary mogły wyjechać pełne ludzi, którym beznadzieja odebrała tutaj własne miejsca.

Na dworcu PKS w Opolu ludzie przestępują z nogi na nogę przed nieczynną toaletą. Pierzchają nagle – podjeżdżają autokary. Koła podróżnych toreb stukoczą o nierówny chodnik, wielka emigracja zwykłych ludzi jest taka banalna, płaski monitor wielkiego telewizora w hali dworcowej pokazuje świat nasycony barwami, ciepły jak staroświecka choinka, ktoś ogląda się przez ramię, by jeszcze spojrzeć na uśmiechniętych, rozluźnionych dziennikarzy, którzy opowiadają właśnie, że w jakimś przedszkolu zabroniono zatrudnionym tam paniom pomagać dzieciom w toalecie – z obawy przed molestowaniem. Ale nikt już tego nie słucha, kloszardzi przycupnęli blisko drzwi, drzemią, oni nigdzie się nie wybierają. I tak zwykle są gdzie indziej, smutni outsiderzy, ubodzy krewni swoich nieco mniej ubogich krewnych, którzy właśnie wsiadają do autobusów, by nie dać się pożreć lokalnej pustce.

Miga mi to wszystko w pamięci, gdy kupuję bilet kolejowy w prowincjonalnej kasie gdzieś w Wielkopolsce. Dobrze, że w tym styczniu jest tak ciepło, bo nie ma żadnego ogrzewania dla podróżnych. Starsza kobieta, która sprzedaje mi bilet, ma włączony piecyk elektryczny, siedzi ubrana na cebulkę. Ciekawe, czy musi dokładać się do zużytego prądu. Może choć klimat się nad nami zlituje i z pensji, pół-pensji i ćwierć-pensji prowincjonalni (i nie tylko tacy) Polacy nie będą musieli wydawać na ogrzewanie tak dużo. Może w końcu przyjdzie to cholerne globalne ocieplenie i zrobi nam z Bałtyku ciepłe bajoro, i wyrosną tutaj owoce cytrusowe. A Polak zrobi się czarny, będzie rwał banany i zbierał bawełnę. Czarny Polak na ojczystej palmie pod neokolonialnym słońcem – ostatni cud boski nad umęczonym narodem. Somalia rozkwitnie nad Wisłą – korwiniści będą mieli jak w raju. Właściwy naród na właściwym miejscu i nareszcie w klimacie przyjaźniejszym dla wciąż białych Murzynów.

Autor: Krzysztof Wołodźko

Źródło: [Nowy Obywatel](#)